



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ZBLĄKANI WĘDROWCY.

Zdarza się często, że na pływających statkach po obszer-nych oceanach chwymane są ptaki nie należące bynajmniej do przelotnych, a które tylko w skutek niezwykłych dla nich wypadków, dostawszy się nad owe przestrzenie wodne, zmęczone i wyczerpane, szukają chwilowego spoczynku na masztach i żaglach okrętowych.

Do takich przygodnych wędrowców zalicza się okaz, jaki przedstawia rycina nasza, który będąc odmianą znanych u nas *zimorodków* jest stałym mieszkańcem Ameryki. Ptak ten schwymany na parowcu o 300 mil od lądu, przywieziony został do Europy, gdzie następnie szczątki jego wypchane, umieszczono w ornitologicznym muzeum w Paryżu. Zimorodek zamieszkuje w porze letniej prawie całą Amerykę północną, trzymając się okolic bogatych w wody i błota, z których wyławia swe pożywienie, składające się z drobnych rybek, ślimaków, pijawek, oraz przeróżnych owadów. Z nadejściem zaś zimy, gdy na północy wody zamarzają, przesiedla się do środkowej Ameryki lub na Antyllę.

Amerykański gatunek zimorodka o wiele jest większy od europejskiego, a skrzydła jego spiczaste i dość stosunkowo długie, opatrzone są mocnymi sterówkami, ogon natomiast znacznie krótszy i barwa upierzenia o wiele jest skromniejsza od naszej odmiany. Ogólna też budowa ptaka ciężka, z głową wielką i silnym dziobem, nie przedstawia typu właściwego ptakom przelotnym, zdolnym do dalekich, nadmorskich podróży. To też opuszczając jesienią Kanadę i Stany Zjednoczone, nie kieruje się amerykański zimorodek ku wodom oceanu, lecz trzyma przezornie doliny Ohio i Misuri, albo brzegów Karoliny, Georgii i Florydy, gdzie cierpi na brak pożywienia. Widocznie więc tylko silny wicher, któremu się oprzeć nie miał siły, zapędził naszego ptaka aż w okolice Bermudów. Najśluszniej też uważać go możemy za zbłąkanego wędrowca.

Również ciekawym, choć mniej już wyjątkowym wypadkiem jest pochwylenie w zeszłym roku dwóch jastrzębi, które w skutek wielkiego zmęczenia, nie zdolne do dalszego lotu, spoczęły na rejach okrętu, pływającego z Kolumbii o 300 kilometrów od jakiegokolwiek ziemi. Okazy te wzięte do niewoli,



Zimorodek amerykański.

znajdują się obecnie w ogrodzie zoologicznym w Paryżu. Należą one do gatunku tak zwanych *wędrownych jastrzębi*, które jak powszechnie jest wiadomem, zdolne są do wysokiego lotu i dalekich podróży. Przymiot ten posiadają zarówno miesz-

Maryja Łopuszańska.

W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

Dopiero po długich poszukiwaniach, Maksym napotkał jednego wieśniaka, który zapytany czy nie widział młodego pana, odrzekł:

— Jak nie miałem widzieć, widziałem przecie jak go przenieśli do chaty Sawkowej...

— Jakto, to on ranny? — zawołał Maksym.

— Jeżeli nie mógł iść o własnych siłach, to chyba, że ranny — odparł z całym spokojem, zapytany.

Maksym pobiegł dać znać o tem panu Silnickiemu, który natychmiast postanowił iść do chaty Sawkowej. Wziąwszy więc Maksyma za przewodnika udał się do niej, gdy tymczasem pan Żuk zajął się gaszeniem pożaru i przyprowadzeniem wszystkiego do porządku przy pomocy czeladzi i wieśniaków. Szczęściem na domu dach tylko spłonął dotąd, a ten prędko można było odbudować, inne szkody także łatwe były do naprawienia.

Chata Sawki leżała u skraju wsi i dlatego Semenکو przy pomocy jednego z wieśniaków przeniósł tam swojego pana, który straciwszy wiele krwi z powodu otrzymanej rany, wciąż był nieprzytomny. Dopiero gdy stary Sawko jako tako opatrzył mu ranę, otworzył oczy i zaraz zapytał Semenka, który pochylił się nad nim uradowany:

— Czyście je znaleźli?

— Kogo? panią z panienkami? Nie odnaleźliśmy ale zaraz, bo już opryski poszli sobie precz... Niech tylko panicz stara się być zdrow jak najprędzej, a wszystko będzie dobrze..

— Poszli, powiadasz — rzekł Andrzej, którego myśl zdawała się pracować. A jeżeli oni je z sobą uprowadzili? Jezus, Maryja, ja muszę im iść na ratunek!

To mówiac zerwał się z posłania, na którym leżał, rozpacz powróciła mu siły chwilowo.

— Paniczu, co wy robicie — zawołał Semenکو, zatrzymując go, przecie nie możecie iść teraz, bo sił wam brakuje i ja was nie puszcze.

— Puszczaj, jak śmiesz mię zatrzymywać, kiedy tu idzie o życie mojej matki i sióstr! — zawołał Andrzej, wyrwując mu się. Ale siły opuściły go natychmiast i padł znowu na posłanie pół omdlały.

— Dalibóg, że panicz głupstwa robi — mówił wierny Semenکو, skrapiając mu twarz wodą. — Kto widział rwać się, kiedy sił jeszcze niema? Wielką pociechę miałyby teraz panie z paniczka! Już tam i bez nas da sobie radę pan Żuk; pewnie już odnalazł do tej pory naszą panią i niedługo wszyscy tu przyjdą...

Gdy to mówił, ktoś zapukał do drzwi chaty:

— A co, nie mówiłem? — rzekł Semenکو, biegnąc, podczas gdy Andrzej czekał drżąc ze wzruszenia

Do chaty weszli pan Silnicki z Maksymem.

— Ano, chwala Bogu żeśmy cię nakoniec odszukali — rzekł stary szlachcic, podając rękę Andrzejowi. Cóż to, ranny jesteś?

— Panie cześniku — rzekł Andrzej, któremu głos zamarł w piersi, gdy ujrzał, że go nadzieje zawiodły, moja matka i siostry...

— A wiem, wiem, ale uspokój się — przerwał mu pan Silnicki, ten oto człowiek ocalił je i ukrył w bezpiecznym miejscu.

Tu wskazał na Maksyma, którego Andrzej dopiero teraz spostrzegł.

— Paniczu, nie bójcie się, stary Maksym nie dał krzywdy uczynić pani i panienkom.

— Dziękuję ci Maksymie, póki życia nie zapomnę ci te-

kańcy starego jak i nowego Świata, i te jak tamte szukają w porze zimowej łagodniejszego klimatu.

Jastrzębie więc Stanów Zjednoczonych przebywają za tokę Meksykańską, osiedlając się, aż do powrotu wiosny, na Kubie lub Jamaice, podczas gdy żyjące w Kanadzie przepędzają ten czas na Bermudach. Ale jak słusznie powiada jeden z poważnych przyrodników, ptaki te obdarzone są takimi przyrządami lotu, że podróż kilkuset mil, przedstawia się dla nich tylko, jak nieco dalszy spacer.

Jednakże gwałtowne huragany tak częste w Antyllach, które zanoszą zimne prądy wiatru od zatoki Hudson aż do Havanny w porze, między październikiem a marcem, wytrącają z obranej drogi nawet tak zdolnych powietrznych wędrowców.

Często też pamiętniki i notatki podróżnych i naturalistów, wspominają o podobnych tam wydarzeniach, z pomiędzy których do ciekawszych należy pochwylenie na statku, w okolicach przylądka Horn, odmiany *sójki*, która należąc do rzędu śpiewających, zamieszkuje Amerykę od północy do południowych jej krańców, a różni się od naszej leśnej sójki wysmuklejszym kształtem, dłuższymi nóżkami, a nadewszystko swemi obyczajami. To też odmianie tej nadaną została nazwa *sójki ziemnej*, gnieździ się ona bowiem rzeczywiście w ziemi, w norach, które już to sama wygrzebuje, już też zabiera w swe posiadanie po którym z mniejszych gryzoniów. Na gałęziach nie siada nigdy, natomiast opatrzona długimi, wysmukłymi skrzydłami, zdolną jest wzbic się wysoko w powietrze, gdzie zawieszona nieruchomo, upatruje bystrym wzrokiem przelatujące owady, które w lot chwyta, lub mniejsze zwierzątka na ziemi, na które zniecacka spada niby kula. Możemy więc łatwo pojąć, że w takiej chwili zupełnego oddania się łowom, silny prąd powietrza porwał ją i uniośł daleko od jej zwykłego miejsca pobytu, aż gdy wycieńczona, jedyny swój ratunek widziała na pokładzie przepływającego tą samą drogą statku.

Jeżeli jednak wyżej przytoczone wypadki należą zawsze bądź co bądź do wyjątków tylko, to w zamian bardzo często się zdarza, że drobne ptaki wędrowne, jak: przepiórki, jaskółki, skowronki i t. p., zmęczwszy długą podróżą delikatne swe skrzydełka, obsiadają w wielkie ilości okręty lub nawet małe rybackie łodzie, aby po dłuższym odpoczynku, lecieć z miłym świegotem tam, gdzie im instynkt każe szukać pogodnego nieba i przyjaznych warunków życia.

Zdarza się wszakże że i z tego gatunku ptaki zabłądzą czasem wśród szlaków powietrznych, odłączone jakimś wypadkiem od stada, z którym podróż odbywają. Nietylko więc na Baltyku, na Morzu Północnem lub dalej jeszcze aż u brzegów Islandyi, spotykano pojedynczo lub nielicznymi gromadkami drobne ptactwo wędrowne, ale stwierdzoną nawet została bytność ich poza kołem biegunowem w okolicach Tromsee i wyspy Jan-Mayen.

Opierając się więc na podobnych przykładach, możemy dojść do wniosku, że równie jak ziaruka nasienia roślin niesione wiatrem, padają wreszcie na grunta odległych i pustych wysp, na których się rozrastają i tworzą z czasem bujną roślinność, tak zbłąkane lub porwane burzą ptactwo, znajduje czasem punkt oparcia na jakiegokolwiek ziemi, która, gdy umie się poddać nowym warunkom bytu, staje się dlań drugą ojczyzną.

go — rzekł Andrzej, ściskając ze łzami starego chłopca. Ale gdzie one są?

— Idę po nie, niedługo tu będą — odrzekł Maksym, który zapomniał o tem ile drogi zrobił już w dniu dzisiejszym i wybrał się natychmiast, aby sprowadzić łowczynę z córkami.

Co do Andrzeja, ten tak był złamany silnemi wzruszeniami, że leżał bez ruchu i bez słowa tylko słuchał opowiadania pana Silnickiego, o spotkaniu jego z Maksymem i co potem nastąpiło.

Dopiero przed wieczorem przybyła łowczyzna wraz z Anką i Terenią. Łatwo sobie wyobrazić radość całej rodziny, gdy się znów ujrzeli razem. Gdy łowczyzna niepokoiliła się raną syna, ten rzekł jej z uśmiechem.

— Nie bójcie się, matko, prędko przyjdę do zdrowia gdy was mam przy sobie.

Wkrótce nadszedł pan Żuk, donosząc, że pożar już zupełnie ugaszony i, że oprócz dwóch zabitych, reszta czeladzi poniosła lekkie tylko rany. Za to w gospodarstwie było szkód dosyć.

— O szkody mi nie idzie — rzekła łowczyzna, żal mi tylko tych dwóch biednych ludzi, którzy w naszej obronie życie postradali. Musimy pomyśleć nad tem, żeby ich rodziny przynajmniej nie bardzo ucierpiały z tego powodu. Straty zaś majątkowe łatwo naprawić za pomocą pracy, zwłaszcza gdy wszyscy jesteście razem.

Tu objęła wzrokiem pełnym miłości wszystkie swoje dzieci, znajdujące się teraz przy niej. Andrzej począł opowiadać swój niepokój i rozpacz gdy szukał ich po całym dworze i nie mógł znaleźć.

— Myślałem wtedy, że oszaleję — mówił wzruszony. Niczego już nie pragnąłem tylko śmierci:

Na te słowa siostry obie rzuciły mu się na szyję, a matka objęła go i kładąc jego głowę na swoich kolanach i przesuwałając mu ręką po włosach, rzekła głosem cichym ale wzruszonym:

— Czy ty wiesz, że gdybyś śmierć znalazł to i jabyu długo nie pożyła?

— Darujcie mi matko — rzekł Andrzej, przyciskając jej rękę do ust, ale nieraz mi przychodziło na myśl, że stokroć lepiej by było dla całej rodziny, gdybym ja raczej umarł nie zaś ojciec, który tak mądrze i troskliwie umiał wszystkim zarządzać, podczas gdy ja, choć się staram ile mi sił starczy, nie mogę podołać i wszystko idzie na opak. I nieraz było mi bardzo ciężko i wyrzucałem sobie, że pomimo moich wysiłków nie mogę ojca zastąpić...

— Jakto, podobne myśli przychodziły ci do głowy? Niedobry z ciebie chłopak! — rzekła łowczyzna z wymówką, a zarazem z rozrzewnieniem w głosie.

— Jedną tylko Anka wie, jak mi nieraz było przykrożem was, matko droga, nie mógł zadowolić — mówił Andrzej dalej, jak gdyby wszystko co miał w duszy, pragnął wypowiedzieć w tej chwili, ale wybaczcie mi, bo szczerze pragnąłem dogodzić wam we wszystkim...

Anka podniosła głowę z pewną dumą, że była jedyną powiernicą brata, a Terenia popatrzyła na nią ze zdziwieniem, bo nigdy się tego nie spodziewała po owej samowolnej i lekkomyślnej Ance.

— Więc on się przed tobą zwierzał? a jam nic o tem nie wiedziała — rzekła do siostry z niejaką zazdrością.

— Tak — odparła Anka wesoło. Choć nie jestem bardzo mądrą, jednak przydam się na coś czasami

Łowczyzna zaś szepnęła, przyciskając do piersi głowę syna:

— Gdy ci kiedy jeszcze takie myśli przyjdą do głowy, to pamiętaj o tem, że wyście jedynem mojem dobrem i szczęściem na ziemi i, że ty jesteś moją dumą i, że niema na świecie matki, którejbyu zazdrościła czegokolwiek! Czy ci dość tego?

— Dość matko droga. Teraz i ja nie pragnę niczego więcej na świecie — rzekł Andrzej, całując rękę matki. I dodał z ożywieniem: — Będziemy znów pracowali i wszystkie szko-

dy, prędko zostaną naprawione, niech mi tylko siły powrócą, a potrafię teraz robić za trzech.

— A my także będziemy tobie pomagały, ile nam sił starczy! — zawołała Anka z zapałem.

— Tak, tak, kochajcie się moje dzieci i pomagajcie sobie wzajem, a Bóg nas nie opuści — rzekła łowczyzna. — Ale gdzież to Maksym się podział? dodała po chwili.

— Poszedł widać wypocząć, bo dziś się bardzo strudził, rzekła Terenia.

— Pocziwy Maksym, gdyby nie on, co by z nami było? — ozwała się Anka. Mnie się wydaje jak gdyby on należał już do naszej rodziny, tak go kocham.

— Masz słuszność, Anko — rzekł Andrzej, człowiek, który nam dał tyle dowodów poświęcenia, powinien być tak uważanym jak gdyby należał do rodziny, nieprawdaż, matko droga?

— Zupełnie się zgadzam z tobą, synu — odparła łowczyzna, niczem innem nie możemy go wynagrodzić dostatecznie za to, co uczynił.

Długo jeszcze rodzina rozmawiała z sobą poufnie i serdecznie a niktby się nie domyślał, ile w owej chacie, chwilowym przytułku rozbitków bez dachu, mieściło się tego wieczora radości i szczęścia.

VIII

W parę dni po napadzie rozbójników, kiedy czeladź pod dozorem pana Żuka zajęta była naprawianiem szkód w zabudowaniach, na dziedzińcu zajechał wózek, a z niego wysiadł pan Halczyński ale taki zmieniony, taki postarzały, że go poznać było trudno. Gdy pan Żuk zadziwiony niezmiernie temi odwiedzinami, podszedł do niego, zapytał natychmiast o Andrzeja, a skoro otrzymał odpowiedź, że został w czasie napadu raniony, zdawał się tem być nadzwyczaj stroskany.

— Zaprowadź mię waszmość do niego przez litość, przybywam bowiem z nader ważną sprawą — rzekł prawie błagalnie. Nie wiem cobym oddał teraz, żeby naprawić to zło, które dawniej uczyniłem.

— Dość późno tylko waszmość się do niego bieriesz, pozwolę sobie uczynić uwagę — ozwał się pan Żuk.

— Słuszne jest to, co waść powiadasz — rzekł pan Halczyński z westchnieniem, ale Bóg mię dzisiaj tak ciężko dotknął, że myślę, iż ludzie nie powinni już nic więcej dorzucać do tego.

W jego głosie tyle było głębokiej bólesci, że pan Żuk uczuł się wzruszonym i chciał go zapytać, jakie nieszczęście go spotkało, kiedy z dworku, w którym tymczasowo mieszkała rodzina cała wyszła łowczyzna. Na widok człowieka, który nie jedną chwilę w życiu zatrul jej mężowi, zatrzymała się, i poblądziwszy mocno, patrzyła na niego z milczącym wyrzutem.

— Widzę, że waćpani nie przebaczyłaś mi dotąd — rzekł pan Halczyński ze smutkiem w głosie, pochylając przed nią głowę. A ja właśnie przybyłem do waćpani syna, aby go prosić o darowanie mi tego, co względem niego zawiniłem.

— Nie wiem czy mój syn będzie się mógł z waćpanem widzieć, jest ranny — rzekła łowczyzna chłodno.

— A więc powiedz mu waćpani, że przysłał mię do niego mój Janek, który koniecznie się chciał z nim widzieć i, że to może ostatnie jego życzenia na ziemi — rzekł pan Halczyński, któremu łzy nagle głos zatamowały.

— Czy syn waćpana chory? — zapytała łowczyzna, tknięta współczuciem na widok tej bólesci.

— Okropne nas nieszczęście spotkało, kiedy ja pojechałem do drugiego folwarku, który mamy obok Kozłówek, hajdamacy napadli znów na dwór, ale w takiej liczbie, że czeladź nie mogła się wcale bronić i musiała się poddać odrazu, oni zaś zrabowawszy dom, żonę i córkę mi porwali, Janka zaś chcącego bronić matkę i siostry, ranili w głowę tak, że przez parę dni leżał bez przytomności, dziś zaś, odzyskawszy ją nieco, prosił mnie na wszystko bym mu koniecznie sprowadził pana Andrzeja, któremu ma coś bardzo ważnego powiedzieć.

W czasie tego opowiadania nadeszła Anka, a usłyszawszy jaki los spotkał Basię zawołała z żalem:

— Biedna Basia, biedny Janek! Nie smuć się waćpan jednak tak bardzo, jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze Bóg da, że ich odzyszczesz!

— Niech ci Bóg płaci panienko, za twe serdeczne słowa — rzekł pan Halczyński ocierając łzy, które mu płynęły po twarzy.

Łowczyni, która wyszła na chwilę, wróciła, mówiąc do gościa.

— Proszę waćpana za mną.

Andrzej czekał na niego w progu pokoju do którego weszli; rękę miał jeszcze na opasce ale widać było, że już odzyskiwał siły. Pan Halczyński w pierwszej chwili nie mógł nic mówić, tak go boleść złamała, Andrzej pierwszy zbliżył się do niego, mówiąc ze wzruszeniem:

— Wiem o nieszczęściu jakie waćpana spotkało i pomimo wszystko co nas dzieliło, współczuję je serdecznie.

Te słowa proste i szczere podziałały jak balsam na duszę nieszczęśliwego człowieka, wyciągnął rękę do Andrzeja i wyrzekł głosem przytłumionym:

— Waszmość masz zagnę duszę, niedarmo mój Janek tak cię pokochał!

— Powiedz mi waszmość, czy naprawdę jest tak chory? — zapytał Andrzej.

— Tak, bardzo z nim źle, ale myślę, że najwięcej wpływa na jego stan obawa o los matki i siostry.

Co chwila w gorączce zrywał się, chcąc biedz im na pomoc. I waćpana wzywał także a skoro tylko otworzył oczy przytomne, zaraz mię wysłał tutaj.

— Jeśli tak to jadę z waćpanem natychmiast — zawołał Andrzej. Biedny Janek! nie chcę żeby czekał daremnie, dzięki Bogu, mam już dość sił...

To mówiąc wyszedł na podwórze z panem Halczyńskim, który nie wiedział jak mu okazać swą wdzięczność.

— Niech waćpana Bóg wynagrodzi za to, coś dla nas uczynił — mówił wzruszony i pomieszany zarazem.

— Jakże waszmość myślisz ratować żonę i córkę? — spytał go Andrzej, gdy już byli w drodze. — Trzeba natychmiast coś przedsięwziąć, gdyż czasu niema do stracenia...

— Cóż ja mogę uczynić? Ci zbóje częścią pozabijali częścią rozpedzili moich ludzi, i pozostałem prawie sam na cały dwór z moim chorym chłopcem, tymczasem trzebaby się zając wydobyciem ich z tej ciężkiej niewoli. Szczęściem pozostało mi trochę pieniędzy i kosztowności zakopanych w ogrodzie, których rabusie nie zdołali dopatrzeć.

— A który to z watażków uczynił napad na dwór waćpana?

— Któżby, jeśli nie Szpak? Największy to hultaj ze wszystkich, gdyż prawdziwie sobie po tatarsku poczyni, porywając ludzi chrześcijańskich, aby ich zaprzedać w niewolę bisurmanom.

— Jeżeli tak, to on je powiódł do Dubossar, by tam sprzedać Tatarom... Trzeba się spieszyć, na Boga, by go dognać, nim Dniepr przekroczy...

— A tu już dwa dni upłynęło od czasu porwania! — zawołał pan Halczyński, łamiąc ręce.

— Uspokój się waszmość, Szpak nie może iść tak prędko, z przyczyny jeńców, którzy mogliby mu w drodze popadać, gdyby ich gnał zbyt szybko; musi więc odpoczywać często i długo. Może nawet jeszcze nie wyruszył z pod Uszycy, gdzie się wszyscy dowódcy hajdamaccy rozłożyli obozem, jak mi to opowiadał pan Silnicki, który ma pewne wieści o nich, jako, że wciąż jest zajęty ich ściganiem. Szpak nawet nie mógł tak prędko ruszyć w stepy, ponieważ oddział jego został rozbity u nas, więc musi czekać aż reszta niedobitków pościąga z różnych stron.

— Dziękuję waszmości, że mi chcesz dodać serca, albowiem wielka boleść tak zamroczyła mój umysł, że sam nie wiem już co mam począć — rzekł pan Halczyński, ściskając rękami czoło.

— Waszmość musisz się przygotować zaraz by wyruszyć, wioząc z sobą odrazu okup za żonę i córkę — rzekł Andrzej szybko. — Najlepiej byłoby żebyś zastał jeszcze Szpaka w obozie pod Uszycą.

— Ale co ja pocznę, nie mając ludzi, w taką drogę trzeba się puścić z silnym pocztem, be inaczej nie dojedziesz żywym — mówił pan Halczyński zafrasowany.

— Poczekaj waszmość — zawołał Andrzej, nagle uderzony myślą — ja tam mam nawet znajomego, a tym jest Szulak, dowódca watahy zbójckiej, któremu w zinnie nie chcący oddałem przysługę, gdyż leżał w lesie przytłoczony koniem. Wydał mi się trochę lepszym niż inni; otóż możebyś waszmość udał się do niego w moim imieniu, prosząc by ci dopomógł w tej sprawie...

Tak rozmawiali przez całą drogę, obaj zasmuceni i zaniepokojeni losem dwóch kobiet, zostających w ręku dzikich opryszków. Andrzej zapomniał stopniowo, że miał przed sobą dawnego nieprzyjaciela jego rodziny, widział tylko człowieka nieszczęśliwego i złamanego. Zresztą przedewszystkiem obchodził go los pani Halczyńskiej i Basi, dla których czuł serdeczne współczucie, i żał go zdejmował gdy je sobie wyobrażał wśród tych ludzi okrutnych, narażone na zniewagi i przykrości.

Wreszcie dojechali do dworu w Kozłówce. Znać na nim było jeszcze ślady świeżego napadu, których nie starano się nawet usunąć, drzwi i okna były powybijane, na dziedzińcu leżały tu i owdzie połamane sprzęty. Pan Halczyński poprowadził Andrzeja do jednej z dalszych komnat, mniej od innych uszkodzonych, gdzie leżał Janek, przy którym znajdowała się stara kobieta wiejska, niegdyś jego piastunka. Ujrawszy ojca, chłopak obrócił głowę, pytając słabym głosem:

— Tatusiu, czy zastaliście pana Andrzeja?

— Oto jestem, Janku — rzekł Andrzej, wchodząc. — Dowiedziawszy się żeś chory, zaraz pospieszylem do ciebie.

— Jak to dobrze — szepnął Janek, którego blada twarz rozjaśniła się uśmiechem. — Usiądź tu przy mnie, panie Andrzeju — dodał po chwili, a gdy Andrzej spełnił jego życzenie, wziął go za rękę, mówiąc: — Cieszę się, bardzo się cieszę, żeś waszmość przybył...

— Pan Andrzej nie żałował swojej fatygi, choć sam był ranny niedawno, bo i na nich tam Szpak napadł, ale go rozbili — ozwał się pan Halczyński. — Nie wiem też jak mu mamy dziękować za to, że zechciał wstąpić w nasze progi.

Na wspomnienie Szpaka, twarz Janka pobladła jeszcze bardziej, a oczy zaświeciły mu gorączkowo, z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Ach, biedna moja matka, biedna Basia, co się z nimi dzieje? Dla czego ja nie mogę iść im na ratunek?

A zwróciwszy się do ojca, wyciągając ku niemu ręce:

— Tatusiu, jeśli wy dłużej zostanieie tu przy mnie, zamiast spieszyć im z ratunkiem, to ja umrę tutaj z rozpacz, albo sobie głowę rozbiję!

— Janku, przestań — rzekł Andrzej, chwytając go za ręce — mówisz zupełnie nieprzytomnie, przecież właśnie naradziłsiemy się nad tem, jak je ratować, ale w tak ważnych rzeczach trzeba działać z rozmysłem aby nie popsuć.

Janek przez cały ciąg jego mowy patrzył mu w oczy z wyrazem nadziei i oczekiwania, wreszcie wzięwszy jego rękę przycisnął ją do piersi, a skoro ojciec oddalił się na chwilę, zawołał:

— O, ja wiedziałem, że waszmość nas nie opuścisz w tem nieszczęściu!

A gdy Andrzej pochylił się ku niemu wzruszony, chłopak wyszeptał gorączkowo:

— Panie Andrzeju ratuj matkę, ratuj Basię!

I dodał jeszcze ciszej:

— Ja już może żyć nie będę, więc je waćpanu polecam.

— Nie mów tak Janku i miej w Bogu nadzieję — odparł Andrzej. — Bądź pewny, że wszystko zrobimy co tylko będzie można aby je wydobyć z rąk zbójów, a ty tymczasem



Komenda wojska francuskiego.

staraj się wyzdrowieć jak najprędzej, aby je ucieszyć za powrotem.

Chłopiec zarzucił mu obie ręce na szyję, poczem zmierzony wzruszeniami, opuścił głowę i zamknął oczy. Andrzej ułożył go troskliwie i pocałował w czoło, wyszedł z pokoju. Za drzwiami spotkał się z panem Halczyńskim.

— Kiedy waszmość myślisz jechać? — zapytał.

— Dopiero za parę dni, gdy zbiorę sobie ludzi.

— To i ja z waćpanem pojedę, aby mu służyć radą i pomocą w tej sprawie. Moi ludzie wzmocnią szczupły poczet, inaczej nie bardzo byłoby bezpiecznie udawać się w podróż na spotkanie owych rabusiów.

— Bóg zapłać waćpanu, bo ja nie potrafię — wyjąkał pan Halczyński wzruszony i jakby zawstydzony tą wspaniałomyślnością niedawnego nieprzyjaciela.

— Ja też nie dla żadnej nagrody to czynię, jeno żem przyobiecał synowi waćpana, iż mu matkę i siostrę powrócę — odrzekł Andrzej.

IX.

W kilka dni po wyżej opisanych wypadkach, wyruszył w drogę nieliczny oddział, na czele którego jechał pan Halczyński i Andrzej, Semenka, nieodstępujący nigdy swego pana, również im towarzyszył. Przebywali rozległe przestrzenie, niegdyś będące polami uprawnymi a dziś pustkami, porośniętymi wysokim burzanem, bo nie było rąk, coby się zajęły ich uprawą. Miejscami spotykali ślady wsi i futorów, gdzie na ruinach chat, zgorzałych niegdyś, rozrastały się teraz bujne dziczale drzewa owocowe, tworzące gęste gaje. Piękny i bogaty dawniej kraj leżał teraz pustką, zaledwie w niektórych stronach poczynając się osiedlać, bo ludność rozproszona w czasie tureckiego zaboru, teraz powoli dopiero zaczynała się ściągać i zakładać sioła, z których nierzadko znów została wypłaszana przez gromady hultajów i składającej się po większej części z „poturmaków”, czyli chrześcijan zburzanych, oraz przybyszów z sąsiednich Multan a przede wszystkim z Lipków, owych najstraszniejszych rabusiów tatarskich, którzy po ustąpieniu Turków wynieśli się za Dniestr, na step Urzyjski i stamtąd czynili napady zbójckie na ziemię rodzinną. Ci Tatarzy litewscy byli okrutniejsi od swych dzikich braci z Budziaku i Krymu, zamiast brać jeńców, mordowali ich najczęściej bez litości.

Dziwnie smutno wyglądała teraz owa kraina, znękana tyłu wojnami. Milami całymi ciągnęły się pustki nieobsiane. Tysiącami takich wsi mógłbyś rachować, że tylko niebo i ziemia zostały, powiada jeden z ówczesnych pamiętników. Dalej wznosiły się lasy olbrzymie, poprzerzynane jedynie szlakami udeptanymi przez zbójców. Mnóstwo dzikiego zwierza mnożyło się w owych czasach; oprócz wilków, chodzących ogromnymi stadami po dnu białym, nierzadko trafiały się dziki oraz losie, wcale dziś w tych okolicach nieznanne. W skałach gnieździła się niezliczona ilość orłów, sokołów, jastrzębi i sępów, które ciągnęły zazwyczaj za zbójckimi watachami.

(d. c. n.)

NA KOMENDĘ.

Marsz w sto koni,
Szabla dzwoni,
Broni szcęk
Ziemi jęk.
Jada, jada, pęd: a w cwał,
A za nimi kurz wał.
Koniom z pyska
Piana pryska,

Z kopyt iskry;
Ziemia drży!
Gra w rumaków żyłach krew,
W locie grzyw ich widać wiew.
Hej! jak burza,
Gdy dzień schmurza,
Pędzą w lot,
Niesie grzmot.
Tak ten oddział leci w dal,
Wśród kurzu, dymu fal.
Wtem dowódca z szablą staje
Na komendę rozkaz daje,
Hejże! krzyknie,
Jak grom ryknie:
Stój!

I wtem nagle szyk wstrzymany,
Jak huczące mórż balwany,
Gdy o skały piersi ciska,
To się zżyma, pieni, pryska.
Jakby strzała za sokolem
Wypuszczona aż do chmur,
Gdy tuie wichry ostrem czółami,
I wstrzymana nagle wbita,
Więźnie w tarczy ostrzem wryta,
Tak szyk stanął niby mur
Na komendę, stój!

M. S.

SFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

— Nie mogłem, niech mi pan zrozumie, nie mogłem! Ci dwaj bracia tak do siebie podobni!... Zdawało mi się, iż nie Marcin, ale Net Hoyt stoi przedemną, i wziął mi taki strach, żem zakrył oczy i uciekłem spiesźnie.

Pod wpływem wspomnienia tej chwili, Peters pochylił się ku ziemi w niemej rozpaczy, a ja siedząc z głową wspartą na dłoni, zamyśliłem się głęboko nad przyczyną i możliwymi skutkami powtórzonej mi sceny.

— Bez wątpienia — pomyślałem — wszystko to jest dziełem Hearn'a, który mógł już na Falklandach zebrać jakieś wiadomości o metysie, a teraz używa ich jako broni zemsty za to, że on jeden z nowozacieżnych trzymał ze starymi, jak również i za pośrednie przyczynienie się do przedłużenia wypraw...

Gdy po dłuższej chwili podniosłem głowę, Dick Petersa nie było już przy mnie; usunął się tak cicho, żem ani tego nie zauważył, powiedziawszy mi co pragnął powiedzieć i uwniwszy się zarazem, że nie ja zdradziłem jego tajemnicę.

Godzina była już późna, gdym zeszedł na dół, trawiony niepokojem, zmęczony moralnie i fizycznie. Bez zwłoki udałem się na spoczynek. Wkrótce cisza zaległa wśród obozu. Po zwykłym sprawdzeniu, że wszystko było w porządku, zasnął też Len Guy i porucznik. Jeden tylko Peters czuwał przy łodzi.

Nazajutrz 31 stycznia wstawy wcześnie, rozsunąłem płótno namiotu.

— Jakaż nowa przykreść! W około mgła nieprzejrzana. Nie taka, którą promienie słońca rozproszą, ale mgła właściwa stronom północnym, wilgotna, biała, ciężka, niby rozrzucone w powietrzu kłęby waty... Przy znacznem obni-

zeniu temperatury, mgła owa mogła być łatwo zwiastunem zimy podbiegunowej.

— Ot, nowo niepowodzenie — rzekł bosman — gdybyśmy teraz płynęli w pobliżu ziemi, nie dojrzelibyśmy jej pewno, boć nie rozróżni oko nic na parę kroków przed sobą.

— Ale płyniemy? — zapytałem.

— A jakże, płyniemy i to znacznie szybciej niż poprzednio. robimy pewno teraz do 4 mil na godzinę.

— Co o tem myślisz, Hurliguerly?

— Zdaje mi się, wnosząc z tak gwałtownego prądu, że jesteście na morzu ściśnionem; i nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby ziemia była od nas niedaleko z obu stron.

— Co znaczy, że ta szeroka cieśnina rozdziela ląd u samego bieguna.

— Tak właśnie! I kapitan jest tegoż zdania.

— A czy nie ma zamiaru zbliżenia się do jednego lub drugiego brzegu?

— Co też pan myśli! Narażać tę jedyną łódź na zatracenie! — zawołał bosman pełen oburzenia — boć jasnym jest, żebyśmy już jej nigdy nie ujrzeli. Nie możemy przecież zarzucić kotwicy na jak długo nam się spodoba i czekać. Ba! gdybyśmy tak mieli nasz Halbran, byłoby całkiem co innego!

Niestety, nie mieliśmy już Halbranu!...

Mimo trudności, jaką przedstawiało wdrapanie się na lodowiec, zwłaszcza przy tej mgle na wpół skoncentrowanej, doszedłem wszakże na szczyt, w nadziei, że może stamtąd zdołam dopatrzyć ląd z prawej lub lewej strony. Próżno jednak wysilałem się przebić wzrokiem olowianą, zda się przestrzęń, i chociaż silny północny wiatr rozpędził nieco tumany mgły, nowe napływały ciągle na ich miejsce, pchane widocznie tym nadzwyczajnym prądem powietrza, równającym się sile prądu wody, która unosiła nas z taką szybkością, iż czułem drżenie lodowca w ruchu.

Czy owa mgła, czy też ten ruch pospieszny oddziaływały na mnie, czy też obie te przyczyny razem, dość, że popadłem zwolna w jakiś stan na wpół tylko przytomny, a dziwne jakieś złudzenia i halucynacje ośwładnęły mój umysł. Bez wątpienia był to stan podobny temu, jakiemu uległ niegdyś Artur Prym w swej łodzi. I zdawało mi się, że on i ja to jedno, że widzę wszystko co on opisywał, doznając tych samych wrażeń. Nieprzejrzana mgła była ową zasłoną, którą rozdierały miejscami świetlane błyski idące od wschodu do zachodu. Szukałem owych ogni palących się w głębi oceanu, podczas gdy spienione, białawe strumienie wodospadu zlewającego się z jakichś niebotycznych wyżyn, ukazywały w swych przerwach fantastyczne krajobrazy, niby złudne fatamorgana. I poddając się wrażeniu, czekałem tylko ukazania się osobliwej postaci białego olbrzyma stron podbiegunowych.

Nareszcie czując, że przytomność odbiega mię zupełnie, ostatniem wysiłkiem woli opanowałem stan ten dziwny i przykry zarazem, i mimo jakiejś bezwładności, jakiegoś odrętwienia nerwów, zeszedłem powoli do obozowiska.

W ciągu reszty dnia nie zaszła żadna zmiana, zasłona z mgły nie uchyliła się ani na chwilę, i gdyby teraz lodowiec, co być łatwo mogło, mijał punkt bieguna południowego, my mogliśmy nie wiedzieć o tem nic zgoła. *)

Wpśród mgły.

— A więc panie Jeorling — zagałnął mię nazajutrz Hurliguerly — trzeba nam już stanowczo przywdziać żałobę.

— Z jakiej racyi, bosmanie?

*) To czego pan Jeorling nie mógł wtenczas, dojrzeć, zobaczyć ktoś inny w dwadzieścia lat później. Żeglarz to był szczególny i statek jego nadzwyczaj. Dla nich nie miały znaczenia żadnego, ani ostrość zimy, ani burze podbiegunowe. Na wulkanicznym podmorskim gruncie samego bieguna, zatknął on swój sztandar biały z błyszczącą, złotem, haftowaną literą N, biorąc te ziemie w swe posiadanie. Żeglarz ów nazywał się *Nemo*, który na swym statku *Nautilus* odbył 25,000 mil podmorskiej podróży.

— A no, biegun południowy już za nami, a my nie widzieliśmy go nawet z daleka. Cóż pan chcesz, wiatr dał na tę lampę, która przygasła właśnie w chwili, gdyśmy koło niego przepływali. Teraz możemy już być o jakie 20 mil od tego punktu.

— Szkoda wielka!... Nie tak prędko sędzę, przedstawi się ludziom raz drugi równa sposobność.

— I ja tak myślę! Wyprawa tutaj, to nie zabawka. A jak ten nasz lodowiec wehikuł pędzi szybko, niech go dyabli!... Ha, cóż robić, wyprawa chybiona, a niema się co namyślać i wałęsać się tu dłużej, bo patrzeć tylko jak ukaże się pani zima ze swym czerwonym nosem i odmrożonemi policzkami i rękoma. Oj, oj! próżne koszta i trudy! Ani kapitan Len Guy nie odnalazł swego brata, ani my naszych ziomeków, ani nawet Peters swego biednego Pryma!

Niestety, takie rzeczywiście było krótkie zestawienie naszych przepadłych nadziei, naszych ciężkich zawodów. A do tego jeszcze Halbran stracony na zawsze... śmierć dwięciu ludzi i wszystkie nieznanne, a oczekujące nas bezwątpienia ciężkie i bolesne przejścia! Nie było jednak rady, trzeba było się poddać z całą rezygnacją losowi. I jeżeli już teraz, počawszy od bieguna nie płynęliśmy ku południowi lecz ku północy, jeżeli nie zmierzaliśmy z powrotem na Atlantyk, lecz ku wodom Oceanu Spokojnego, jeżeli nie Falklandy, Sandwich lub Kerguelen, ale ziemie Australii lub Nowej Zelandyi miały nas teraz przyjąć jako rozbitków, patrzyliśmy już na to spokojnie, byle tylko dalej, pospiesznie dalej...

Ponieważ gęste mgły nie ustąpiły ani na chwilę przez długie jak wieczność dni 2-go, 3-go i 4-go lutego, niemożliwym też było określić zmianę naszego położenia. Len Guy wszakże z Jem Westem przyjmowali, iż po ominięciu bieguna posunęliśmy się już o jakie 250 mil naprzód w kierunku południowym.

Siła prądu zdawała się nie zmniejszać wcale, co nas upewniało, że zostajemy ciągle jeszcze między dwoma obszernymi lądami.

— Jesteśmy bezradni w tem położeniu — rzekł do mnie w czasie dłuższej rozmowy kapitan — trudno określić nawet w przypuszczeniu, gdzie się obecnie znajdujemy, ta nieustanna mgła działa przygnębiająco. Zadnych pomiarów wzięć niepodobna i to w chwili, gdy słońce może niezadługo ukryje się na całe miesiące zimowe.

— Gdyby więc spróbować, na łodzi... — zacząłem nieśmiało.

— Nie możebne panie, nie możebne, ja sam nie popełniłbym takiego szaleństwa, nie mówiąc już o tem co powie załoga...

— Gdyby jednak brat pański, gdyby nasi ziomekowie znajdowali się na tej ziemi! — chciałem zawołać, lecz powstrzymałem się w porę, by nie rozdrażnić serca biednego kapitana który przecież sam myślał o tem. A jeśli zaniechał próby, to widocznie uważał ją za próżną i zbyt ryzykowną. Być może też, iż pocieszał się myślą, że ten sam prąd wody, ten sam powiew wiatru, który nam służył bez zmiany od wyspy Tsalal, poniósł tak samo i łódź Wiliama Guy, tak że przebywszy w dość wczesnej jeszcze porze lodowe zapory, biedacy ci znaleźli ratunek na jakim rybackim statku lub u którego z łądów. Oczywiście, aby przyjąć możebność takiego ułożenia się warunków, potrzeba było wiele dobrej wiary, za wiele może nawet.

To też kapitan nie wypowiadał tych myśli, lękając się zapewne wystawienia ich pod krytykę drugich, bo niechętnie wyjaśniamy szalone czasem złudzenia, które nam osładzają gorycz obecnej chwili.

Naturalnie polegający jedynie na poważnych obliczeniach, Jem West dalekim był od podobnych nadziei, nawet bosman wstrząsnął głową, mówiąc:

— Wszystko jest możebne, albo raczej wszystkiego można się spodziewać, to wszakże wyłaje mi się już nazbyt nieprawdopodobnem...

W ciągu tych trzech dni nie spotkałem ani razu Petera. Nieszczęśliwy znalazł się jeszcze więcej zdala, jeszcze

staranniej unikał zetknięcia się z ludźmi, odkąd powziął podejrzenie, że tajemnica jego znana jest załodze; podejrzenie niestety uzasadnione.

Nie umiem wypowiedzieć, jak przykre, jak nieznosne stały się nam w końcu owe dni mgły nieustannej. Wolało się, że życie zamiera zwolna w piersi naszej. W tym szarym półmroku, w którym światło latarni okrętowej świeciło jak kaganek, niewiadomo było czem zająć myśli, czem wypełnić czas. A owa nieświadomość gdzie zdążamy, ów lęk straszny ogarniający nas minowoli na wspomnienie co dalej będzie, nie dawał mi chwili spokoju.

Tymczasem silny z początku wiatr ucichł tak zupełnie, że nie poruszał nawet światłem zapalanej pochodni, i ciszę bezmierną, która nas otoczyła, przerywały tylko krzyki i kłania ptaków, których w górze nie mogliśmy dojrzeć, a których głos słabo tylko przedzierał się przez zgęszczone wilgocią powietrze.

Spodziewając się, że może w górze mgła rozwiała się już nieco, wdrapał się znów bosman na szczyt lodowca. O mało wszakże nie przypłacił tego swem życiem, bo w owem półmroku olbrzymi jakiś okaz petrela uderzył go w locie swem skrzydłem z taką siłą, że go przewrócił.

— Przebrzydłe zwierzę! — opowiadał mi później mój gaduła — anim się opatrzył, gdy m runął na wznak jak kłoda; ledwie zdążyłem uchwycić się sopli lodowych, ale pan wie, lód usuwa się z pod rąk niby woda... Próżno jednak wymyślałem, wołając: „A ty szaleńcze, ty przeklęty ptaku, nie możesz to patrzeć przed siebie!”... poleciał dalej, mówię panu, nie myśląc mię nawet przeproszać, chociaż nie wiele brakowało, bym się nie stoczył, aż tam do morza.

W poobiedniej porze dnia tego, ucho moje pochwyliło dziwne jakieś głosy, niby ryk gromady osłów, a jak powiedział Hurliguerly, musiały to być pingwiny w wielkiej ilości. Otóż ponieważ owe ptaki tak pospolite w stronach podbiegunowych wylatują rzadko na pełne morze i trzymają się głównie wybrzeży, przyjąłem z radością domysł, że musieliśmy znacznie zbliżyć się do lądu. Nie chcąc jednak ludzić się próżną nadzieją, zapytałem Len Guy co o tem sądzi.

— Sądzę to samo co i pan, panie Jeorling — odpowiedział kapitan — od czasu bowiem jak zostajemy w tych stronach, nie widzieliśmy ani jednego z tych ptaków, bądź na naszym lodowcu, bądź też na innym. Teraz zaś musi ich być tam liczba wielka, wnosząc z siły ich głosu, a skądżeby przyszły jeżeli nie z pobliskiej ziemi. Nadto zauważyliśmy jeszcze z porucznikiem coś, co jak się zdaje uszło uwagi pańskiej.

— Co takiego?

— Posłuchaj pan tylko uważnie. W tem ogłuszającym ryku pingwinów, wyróżnić jednak można żalosne głosy, do beczenia podobne.

— Rzeczywiście — rzekłem po chwili pilnego nadsluchiwania — tam muszą być fok i cieleta morskie, bo tylko im właściwie jest takie beczenie.

— Stąd wniosek — rzekł kapitan — że zarówno owe ptaki jak zwierzęta muszą być bardzo liczne na ziemiach ku którym nas prąd unosi.

— Co za fatalność — zawołałem — iż ta wstrętna mgła ciągle nas jeszcze otacza tak, że nie można nic widzieć dokoła.

— I że nie pozwala nam zejść nawet do podnóża lodowca — wtrącił Len Guy — tam bowiem moglibyśmy przynajmniej przekonać się, czy woda unosi dużo piany, co byłoby bardzo ważną wskazówką. Masz pan rację, mgła ta jest dla nas fatalną!

— Czy jednak nie wypada spróbować zesunąć się na dół? — zapytałem.

— Nie mogę na to pozwolić, byłoby to nazbyt ryzykowne dla każdego, surowo nawet zabraniam wydalać się komubądź z obozowiska. Zresztą, jeżeli ziemia jest już w pobliżu, kto wie czy lodowiec nie zatrzyma się u jej brzegów.

— A jeżeliby się nie zatrzymał?...

— Musimy się zgodzić z tem, co będzie...

— Ale od czegoż mamy lódź! — pomyślałem. Kapitan jednak wolał czekać i kto wie czy w warunkach, w jakich zostawaliśmy, nie było to roztropniejszą rzeczą.

Tymczasem mgła zamiast się rozrzedzać, stawała się jeszcze gęstsza pod wieczór dnia tego. Od piątej godziny było już wprost niemożliwe rozróżnić najbliższe nawet przedmioty i aby się przekonać, że ktoś stał w pobliżu, musiałem dotknąć go ręką. Światło też latarni ledwie jaśniejszym nieco odróżniało się punktem, i jakkolwiek słońce nie schodziło jeszcze z horyzontu, byliśmy pogrążeni w ciemności równajacej się nocy. Nawet głos ginął tłumiony gęstością powietrza. Doszło wreszcie do tego, że każde poruszenie wymagało pewnego wysiłku, jakby otaczająca nas atmosfera przechodziła zwolna w stan stały.

Czy szczególne to zjawisko nie miało jakiego wpływu na igłę magnesową, trudno nam było sprawdzić, gdyż od chwili przepłynięcia bieguna magnetycznego, igła bussoli w bezustannym była ruchu...

Chcąc się upewnić, iż nikogo z nas nie brakło w obozie, kazał kapitan bosmanowi wywołać każdego po imieniu. Wszyscy odpowiedzieli prócz metysa. Hurliguerly powtórzył głośniejszym głosem jego imię, i czekał chwilę. Peters jednak nie ukazał się, ani odezwał; czyby pilnował jeszcze łodzi? Ale zważywszy warunki obecne, byłoby to już zupełnie zbytecznem.

— Czy nikt nie widział Petersa w ciągu dnia? — zapytał Len Guy.

— Nikt — odpowiedział bosman.

— Nie był na obiedzie?

— Nie był, jakkolwiek zapasy, które zabrał, musiały się już wyczerpać.

— Może go jakie nieszczęście spotkało?

— Próżna obawa, kapitanie! Peters jest tutaj w swoim żywiole, więcej może jak niedźwiedź polarny. Raz już umiał sobie radzić, poradzi sobie i teraz!

Udaliśmy się do namiotów. Brak tlenu w powietrzu najprzykrzej dawał się nam uczuć. Nikt nie mógł doleżeć na posłaniu, dusząc się nieledwie, przepędziliśmy wszyscy całą noc bezsennie i wczesnym już rankiem każdy spieszył na taras, by odetchnąć nieco swobodniej.

Mimo wszakże, iż pozornie żadna meteorologiczna nie nastąpiła zmiana, słupek rtęci w barometrze podniósł się tak znacznie, jak nie stał dotąd od czasu przejścia koła biegunowego. Po paru godzinach dopiero uczuliśmy dość silny podmuch wiatru. Był to już wiatr południowy teraz, odkąd zostawaliśmy po drugiej stronie bieguna. Aż wreszcie około godziny 9-taj, szczyt lodowca zaczął usuwać swój mglisty kaptur, i bodaj różdżka czarodziejska nie dokonałaby szybciej zmiany nad tę, której byliśmy świadkami, ku wielkiej naszej radości. Bo oto w jednej chwili mgły ustąpiły zupełnie, zabłysło słońce na pogodnym niebie i również piękne morze ujrzeliśmy dokoła.

Lodowiec nasz wśród nieco spienionej fali posuwał się ze zdwojoną siłą, gnany wiatrem i pchany równocześnie prądem, a szedł tak lekko, jakby się ścigał dla zabawki z nieprzeliczoną ilością innych, płynących około nas w kierunku północno-wschodnim.

— Ziemia! — rozległ się głos Petersa, który stojąc na samym wierzchołku, wskazywał ręką ku północy.

Metys nie omylił się. Tym razem była to ziemia na pewno. Ciemne jej linie rysowały się wyraźnie o kilka mil zaledwie.

— Bez straty chwili, kapitan wraz z porucznikiem zabrał się do pomiarów, które wykazały, iż byliśmy na 86° 12 szerokości, a 114° 17' długości wschodniej. Od bieguna zatem oddzielało nas już prawie cztery stopnie, a z długości zachodniej, której żaglowiec trzymał się stale, jako drogi wskazanej przez Wiliama Guy, zesłaliśmy na długość wschodnią.

Założenie obozu.

W parę godzin później byliśmy od lądu o milę zaledwie. Czy jednak prąd nie poniesie nas dalej, oto pytanie, na które pragnąłem jaknajprędszą znaleźć odpowiedź, jakkolwiek wyznaje, iż sam już nie wiedziałem co byłoby lepsze: zatrzymać się tu, lub płynąć dalej. Gdym w tej kwestyi rozmawiał z kapitanem, nadszedł Jem West i przerywając nam rozmowę, rzekł:

— Powiedzcie mi, proszę, na co się zdało rozprawić o tem?

— Masz rację, Jem, na co się zdało, nasza wola nic tu nie znaczy.

— Tak jest — odparłem — niemniej jednak nasuwa się pytanie, które z tych dwóch wypadków byłoby dla nas lepsze.

— Pozostać na lodowcu — rzekł krótko porucznik.

I rzeczywiście, bo opuścić lodowiec, równało się konieczności odbycia dalszej podróży lodzią. Gdy wszakże jedenastu zaledwie mogła ona pomieścić, reszta byłaby skazaną na niezawodną śmierć z zimna lub głodu. Wprawdzie i lodowiec małą przedstawiał pewność dowiezienia nas szczęśliwie za koło biegunowe, bo czyż nie groziło mu każdej chwili nowe przekoziołkowanie, czy to w skutek zetknięcia się z inną górą lodową, czy w następstwie burz, które z nadejściem pory zimowej szaleć będą na morzu?.. Ale jak powiedział porucznik: na co się zdało dysputować w tej kwestyi...

Po obiedzie, gdy cała załoga bez wyjątku weszła na najwyższy punkt lodowca, Dick Peters, który tam stał dotychczas, usunął się spiesznie drugą stroną, unikając spotkania.

Ziemia rozkładająca się przed naszymi oczami, przedstawiała obszar, gubiący się w stronie wschodniej aż pod linią horyzontu. Powierzchnię jej przerywały znaczne wyniosłości, wybrzeże zaś w głębokie poszarpane zatoki, kończyło się w stronie zachodniej długim, ostrym przylądkiem.

Podzieleni na gromadki ludzie nasi, rozprawiali z wielkiem ożywieniem, gdy kapitan, porucznik, bosman i ja, stojąc nieco dalej czyniliśmy sobie wzajemnie uwagi.

— Nie zdaje mi się, aby ta ziemia mogła być zamieszkałą — mówił kapitan. — Pustka tu zupełna, brak nawet wszelkiej roślinności. Jakże daleko tu do tego, czem była Tsalal, wówczas gdy Orion zbliżył się do niej.

— Pusty i smutny rzeczywiście jest jej widok z tego punktu, a jednak czy nie masz kapitanie zamiaru podpłynąć do niej?..

— Łodzią?..

— Tak, jeżeli prąd unosić będzie dalej nasz lodowiec.

— Każda godzina czasu nieocenionej jest wagi, lodowiec nie będzie na nas czekał.

— Byłoby największą niedorzecznością rozdzielać się — wtrącił porucznik.

— Przynaję to, a jednak myśl, że oddalamy się od tego lądu nie zbadawszy go, sprawia mi najwyższą przykrość. Któż bowiem zapewnić może, iż brat pański, że jego towarzysze nie zawinęli tu na swej łodzi?..

Za całą odpowiedź Len Guy potrząsnął smutnie głową, bo widok tego wybrzeża pustego, tej ziemi czarnej, pozbawionej wszelkiego życia, nie wzbudzał nadziei, aby rozbitki z Oriona zdołali tam wyżyć od kilku miesięcy. Mimo tego jednak, z rozkazu kapitana zatknęto na szczycie lodowca flagę brytańską, aby ją Wiliam Guy mógł dostrzedz, gdyby był na tej ziemi.

— Cierpliwości jeszcze pół godzinki! — rzekł Jem West po dłuższej chwili bacznej obserwacji — zdaje mi się, iż lodowiec, zwalniając biegu, kieruje się ku wybrzeżom, wpływa na to bezwzględnie rodzaj wiru, jaki w tem miejscu jest widoczny.

Przypuszczenie porucznika stało się niebawem tem pewniejsze, iż kilka gór, wyprzedzających naszą, osiadło już u stromych, poszarpanych brzegów lądu. Wreszcie o 5-jej

godzinie po południu stanęliśmy nieruchomo w głębokiej zatoce, której północna część ostrym cyplem wybiegała na morze. O strome jej brzegi oparł się silnie nasz lodowiec.

— Ziemia! ziemia! — zagrzmiął okrzyk załogi, z której wielu schodziło już na dół góry lodowej.

— Czekać rozkazu! — zakomenderował Jem West.

W pierwszej chwili widocznym było pewne wahanie, mianowicie u Hearna i jego ziomków; niebawem wszakże, uznając zapewne konieczność poddania się rozkazowi, stanęli w porządku naprzeciw kapitała.

Ponieważ lodowiec przytykał jedną stroną bezpośrednio do brzegu, nie potrzebowaliśmy spuszczać łądzi.

Len Guy, bosman i ja stanęliśmy pierwsi na tej ziemi, której bezwzględnie nie dotknęła dotąd stopa ludzka. a której wulkaniczny grunt pokrywały kamienie, odłamy lawy i czarny popiół. Dalej nieco od wybrzeży ciągnęły się pasma wzgórz, a nawet gór dość wyniosłych.

Postanowiono przedewszystkiem dojść do najbliższych, by z pewnej wyniosłości rozejrzeć się po okolicy. Godzinę całą zabrało nam to przejście po gruncie nierównym, twardym, ogołoconym z najdrobniejszego nawet objawu życia roślinnego. Zrozumieliśmy też odrazu, iż w podobnych warunkach nie mógłby wyżyć, dłuższy przeciąg czasu, człowiek żaden. Jedyne istoty, czujące się tu swobodnie, owe nieprzeliczone zastępy ptactwa oraz wielka ilość fok i cieląt morskich, nie trwożyły się bynajmniej naszym przybyciem. Widocznie człowiek, król stworzenia, był im dotychczas nieznanym, i wyobrażam sobie, iż patrzyły na nas, jak na pokrewny sobie gatunek.

Dostawszy się na szczyt wzgórza, objęliśmy wzrokiem widnokrąg na przeszło 30 mil. Za nami rozkładała się szeroka przestrzeń wodna, unosząca liczne lodowce; na zachód obszar ziemi ciągnął się w dal nieskończoną, wschodnie zaś wybrzeże oblewało znów morze bezmiernie daleko. Czy byliśmy na wyspie, czy też na większym lądzie antarktyku, trudno nam było orzec. Gdy wszakże Len Guy popatrzył czas jakiś przez swą lunetę i następnie nam ją podał, zgodziliśmy się na jedno, iż w dali zarysowują się kontury drugiego lądu.

— Bodaj nie omyliły nasze przypuszczenia, że prąd unosił nas ku cieśninie — rzekł Len Guy.

— Gdybyśmy teraz mieli nasz Halbran! — zawołał Hurliguerly.

— Tak, bezwzględnie — pomyślałem — na żaglowcu naszym, a nawet na owej górze lodowej, która nas tu przyniosła, mogliśmy przebyć setki mil jeszcze, tam, tam, aż za koło biegunowe! Jakże jednak odważyć się słabą łodzią na tak daleką, tak niebezpieczną podróż? A nadto owe nieuniknione rozdzielenie!

Ale na cóż przydały się żale i rozpacz? Konieczność twardą swą dłonią zmuszała nas do przyjęcia wszystkiego z męstwem i rezygnacją. Pozostawało nam jedynie urządzić się, o ile możności, na tym pustym lądzie, i zabezpieczyć od zimna.

W powrotnej drodze upatryliśmy z bosmanem kilka obszernych jaskiń w nadbrzeżnych skałach granitowych, zdolnych pomieścić nas wszystkich wraz z ocalonym ładunkiem Halbranu. Tam więc, aż do jakiegoś czasu, postanowił kapitan przenieść się z lodowca, na którym noc ostatnią mieliśmy jeszcze przepędzić. Po wezwaniu bosmana stawiła się cała załoga, prócz Petersa; wiedzieliśmy wszakże, iż nie za wiedzie on nigdy naszego zaufania, że w każdym razie liczyć na niego możemy.

Gdy wszyscy stanęli w porządku, Len Guy przemówił ze spokojem i wielką godnością, odpowiadającą ważności położenia. Przedewszystkiem przedstawił — jako konieczność — przeniesienie się na ląd i bezpieczne umieszczenie żywności, która mogła starczyć na kilkanaście miesięcy. Dzięki więc temu, głód nie groził nikomu, również węgla nie powinno zabraknąć do sporządzenia codzielnego ciepłego pożywienia. Co się zaś tyczy łądzi, kapitan uważał ją za własność ogólną. Czy wszakże będzie ona zaraz, czy później użyta, mimo nalegań

Hearna i jego towarzyszy, nie chciał wypowiedzieć od razu swego zdania — zostawiając sobie kilka dni namysłu. To tylko oświadczył stanowczo, że ani on, ani porucznik, ani bosman, ani wreszcie ja nie chcemy korzystać z żadnych przywilei. Wszyscy na równych prawach godzą się na losowanie w tem przekonaniu, że ci, którzy odpłyną pierwsi i szczęśliwie dostaną się za koło biegunowe, nie zaniebają pozostałym nadesłać pomocy.

Mowa kapitana, jak już powiedziałem, miała tyle szczerości i tyle powagi, iż nikt nie śmiał słowem jednym przerywać mu lub przeczyć, i sam przyznać muszę: Len Guy rósł w miarę trudności położenia.

Nazajutrz zabraliśmy się najpierw do spuszczenia łodzi, która z całym swym przyborem do żeglugi przedstawiała się świetnie i w najlepszym stanie. Umieszczono ją w oddzielnej małej grocie pod opieką Petersa, pracującego z nami od samego rana.

Wszelkie zapasy żywności, baryłki z winem i wódką, oraz skrzynie z odzieniem, wreszcie wszystko, co ocalało z Halbranu, jak materace, łóżka, ławki, stoły i szafy przenieśliśmy do dwóch sąsiednich sobie grot, z których jedna służyć miała za magazyn, druga za wielką, wspólną sypialnię. Tutaj też stanęła żelazna kuchnia, aby ciepło palącego się w niej węgla zużytkować na ogrzanie mieszkania.

Położenie groty było wyjątkowo szczęśliwe. Przytulona do wyższych skał, mały dawał dostęp wichrom ciągnącym od morza, i gdy spód jej suchy wypełniał czarny piasek, nieopodal płynący strumień dostarczać miał potrzebną nam ilość wody słodkiej.

Przez całe trzy dni, aż do wieczora 10-go lutego, pracowaliśmy wszyscy bez wytchnienia około nowego urządzenia, i przyznać muszę, iż cała załoga zachowywała się w tym czasie wzorowo.

Bądź jak bądź jednak, nie można już było odkładać dalej postanowienia odnośnie do użycia łodzi, bowiem jeszcze miesiąc lub sześć tygodni najwięcej przeciągnie się pora łowów na wieloryby — po czem opustoszeją zupełnie południowe strony Oceanów. A przypuszczając szczęśliwe przejście zapyry i koła biegunowego, nie możebnem już było, aby łódź nasza wyszła zwycięsko z burz oceanu Spokojnego i dopłynęła do Australii lub Nowej Zelandyi, gdyby nie znalazła wcześniej przytulku właśnie na którym z okrętów. Jeszcze więc tegoż wieczora oznajmił kapitan zgromadzonej załodze, że nazajutrz weźmie tę kwestyę pod rozwagę i stanowczą da decyzję.

Była już późna godzina wieczoru. Chylące się ku linii horyzontu słońce, rzucając ukośne swe promienie, zostawiało nas w nieokreślonym półmroku. Nie zdejmując odzienia, rzuciłem się zmęczony na posłanie, i spałem już kilka godzin zapewne, gdy gwałtowne krzyki obudziły mię nagle.

Wybiegłem spiesznie przed grotę; kapitan i porucznik znaleźli się tam również.

— Łódź! Łódź! — zawołał Jem West, wskazując ku morzu.

Rzeczywiście łódź nasza była już na wodzie — trzech ludzi siedziało w niej — obok widniały skrzynie z żywnością i baryłki z wódką, skradzione z magazynu. Nieopodal groty tymczasem dziesięciu Falklandczyków mocowało się z Peter-

sem, usiłując go ubezwładnić. Hearne był między nimi; Marcin Holt stał jako niemy świadek.

Przewaga była po stronie przeciwnej, to też Len Guy i Jem West wrócili co prędzej po broń, która jedna mogła tu coś znaczyć. Właśnie i ja chciałem uczynić to samo, gdy stanąłem jak wryty pod wrażeniem tego, co posłyszałem. Była to chwila, gdy broniący się długo Peters, legł wreszcie pod przemocą nacierających, a Marcin Holt, widocznie pod wpływem wdzięczności za uratowane życie, chciał go wziąć w swoją obronę.

— Zostaw go — krzyknął Hearne — zostaw! On jest zabójcą twego brata!

— Zabójcą mego brata? — zawołał Holt.

— Tak, twego brata na Grampiusie!

— On go zabił?... On — Dick Peters?...

— Zabił go — i pożarł! Rozumiesz, on pożarł twego brata — ryczał nieludzkim głosem Hearne, i gdy Holt stanął osłupiały, Hearne skinął na swoich, którzy porwali go, ciągnąc ku łodzi. W jednym mgnieniu oka byli już wszyscy daleko. Lecz w tejże samej chwili powstał znów Peters, jak lew rzucił się za uciekającymi i pochwyił ostatniego, gdy tenże gotował się przebyć wpław przestrzeń wodną, dzielącą go już od łodzi.

Ująwszy go jedną ręką, wywinął nim młynka w powietrzu i uderzył o skałę z taką siłą, że rozprysła się czaszka nieszczęsnemu. W odpowiedzi na to Hearn dał ognia z rewolweru i metys raniony, czy kontuzyjowany, padł na ziemię.

Całe to zajście nie trwało dłużej nad minutę, gdy więc kapitan i porucznik wyszli z pieczary, a wraz z nimi bosman, Hardie, Francis i Stern, łódź, unoszona odpywem fali, była już o cały sięg na morzu. Celny strzał Jem Westa powalił jeszcze jednego w łodzi, kula jednak kapitana, przeznaczona dla Hearna, uwięzła w lodowcu, który właśnie zakrył uciekających. Pobiegliśmy jeszcze na drugą stronę przyładka w nadziei, że może prąd zbliży ich tam do brzegu, ale niestety, byli już w takiej odległości, że nawet próba strzału okazała się zbyteczną. Wkrótce też z rozpiętymi żaglami, pędzona przyjaznym prądem wody i powiewem wiatru, jedyna łódź nasza zniknęła nam całkiem z przed oczu.

Dick Peters na morzu.

Tak więc kwestya przezimowania została nagle przeciętą. Z 33 ludzi, którzy stanowili załogę Halbranu, gdyśmy opuszczali Falklandy, 23 przybyło na tę ziemię, z tych ubyłoby jeszcze 14 i to nie wypadkiem, nie kaprysem losu, ale oddzielili się sami, powodowani podłą, nikczemną zdradą. Pozostaliśmy w 9 tylko, a mianowicie: kapitan Len Guy, porucznik Jem West, Hurliguerly, Hardie, Stern, Endirot, Peters i ja. Jakieby jednak nie były trudy, jak dokuczliwą srogość zimy, która nas tu obecnie nieodwołalnie czekała, czuliśmy się silni duchem, gotowi do przeniesienia wszystkiego, bez szemrania, bez słów rozpaczny.

W milczeniu wracaliśmy już najkrótszą drogą do naszej groty, gdy przypomniałem sobie Petersa, który może otrzymał cięższą ranę i potrzebował doraźnej pomocy.

(d. c. n.)

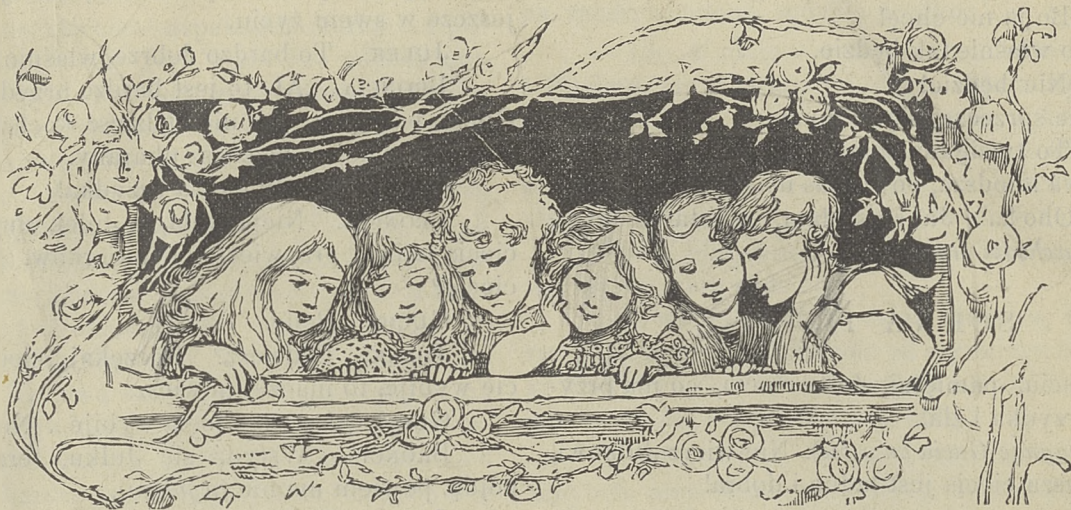
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Zbłąkani wędrowcy (z ryc.) — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Na komendę, wiersz (z ryc.) — Slinks lodowcy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Dodatek: Nasza ciocia, komedyjka w jednej odsłonie (z ryc.) — Roraty. — Spełnione przyrzeczenie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

WIECZORY RODZINNE



NASZA CIOCIA

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSZONIE.

OSOBY:

BRONCIA } Rodzeństwo.
JULEK }
GUCIO -najmłodszy }
IRENA ich ciotka

*Rzecz dzieje się na wsi w domu rodziców Julka, Bronci i Gu-
cia. Scena przedstawia pokój niewielki, skromnie umeblowany).*

SCENA I.

(Broncia i Julek)

JULEK. Słyszałaś Bronciu, że przyjedzie, jakaś na-
sza ciocia?

BRONCIA. Wiem o tem.

JULEK. I cóż ty na to?

BRONCIA. A nic! Jak przyjedzie, to będzie.

JULEK. Ech! z taką odpowiedzią! Ja choć wiedzieć
czy się cieszysz z tego?

BRONCIA. Z czego miałabym się cieszyć? Kiedy
jej nie znam wcale. Nie wiem nawet, czy stara, czy
młoda.

JULEK. Więc cię zasmucił jej przyjazd?

BRONCIA. Nieznośny jesteś Julku ze swoim bada-
niem. Przyjazd ciotki, ani mię smuci, ani mię cieszy!
Nie widziałam jej w swem życiu, więc mię nie obchodzi
wcale.

JULEK. Doprawdy? Mnie znów bardzo obchodzi,
bo podobno uczyć nas będzie.

BRONCIA. Aha! Teraz rozumiem! Chciałbyś prze-
widzieć, czy będzie pobłażliwą dla takiego próżniaka.

JULEK. Tylko bardzo proszę, bez przycinków, bo
i ty nie jesteś bardzo pilną.

BRONCIA. W każdym razie mam lepsze stopnie
w dzienniku, niż ty, Julku.

JULEK. To wcale niesprawiedliwie.

BRONCIA. Właśnie, że p. Amelia była bardzo spr-
awiedliwą nauczycielką.

JULEK. Nieprawda! Tobie dawała lepsze stopnie,
dla tego, żeś dziewczynka, a mnie najgorsze z tego powo-
du, że jestem chłopcem.

BRONCIA. Ach! Julku, jak możesz mówić coś pod-
obnego!

JULEK. Może powiesz, że tak nie było?

BRONCIA. Bo nie było! Panna Amelia nie mogła
ci pisać lepszych stopni, bo nigdy prawie nie umiałaś
lekyi.

JULEK. Jakże miałem umieć, kiedy panna Amelia
więcej mi zawsze zadawała, niż tobie.

BRONCIA. Boś ty starszy.

JULEK. To wszystko jedno, zawsze to niesprawie-
dliwie z jej strony. Ta наша ciocia, co przyjedzie, z pe-
wnością taką samą będzie, już jej naprzód nie lubię.

BRONCIA. To bardzo źle, że nie znając osoby, już
się do niej uprzedzasz.

JULEK. Ja ręczę, że i ty jej lubić nie będziesz.

BRONCIA. Właśnie, że ja ją bardzo kochać będę!

JULEK. A jeżeli będzie miała brzydkie imię? Na-
przykład, Brygida, Agata, Hermenegilda...

BRONCIA. Kiedy ja wiem, jak jej na imię.

JULEK. Może ciocia Heliodora?

BRONCIA. Nie zgadłeś. Na złość tobie ma takie
imię, które ci się podoba. Irena; prawda, że śliczne?

JULEK. Ech, cóż tam imię znaczy!.. Ale będzie
brzydka.

BRONCIA. Właśnie, że ładna.

JULEK. Będzie stara.

BRONCIA. Nieprawda, będzie młoda.

JULEK. Będzie zła!

BRONCIA. Właśnie, że będzie dobra.

JULEK. Czy ją znasz, żeś taka pewna jej zalet?

BRONCIA. A ty, czy ją znasz, żeś taki pewny jej wad?

JULEK. Jesteś przekorna, bo nigdy się ze mną na jedno zgodzić nie możesz.

BRONCIA. Bo dla czego nasza ciocia nie ma być młoda, ładna i dobra?

JULEK. A dla czego nie ma być brzydka, stara i zła?

BRONCIA. Bo ja nie chcę!

JULEK. To właśnie tak będzie.

BRONCIA. Nie będzie!

JULEK. Nie sprzeczasz się ze mną!

BRONCIA. To ty się nie sprzeczasz!

JULEK. Tyś młodsza, powinnaś ustąpić.

BRONCIA. Oho!... Ja słyszałam, że starsi młodszym ustępują, *(wchodzi Gucio)*.

SCENA II.

JULEK. Guciu, pamiętaj, że ta ciocia, co ma przyjechać, to jest brzydka i zła!

BRONCIA *(ciągnąc Gucia ku sobie)*. Nie wierz Julkowi, to nieprawda, nasza ciocia jest ładna i dobra!

JULEK *(ciągnąc Gucia w drugą stronę)*. Nieprawda, nie wierz Bronci.

BRONCIA. Wierz mnie, Guciu!

JULEK. Nie wierz!

BRONCIA. Julku! Jak ty go możesz podmawiać! Nie słuchaj Guciu, co Julek mówi!

JULEK. Nie słuchaj, co Broncia mówi.

GUCIO. Czy Julek widział ciocię?

JULEK. Widział. Taka brzydka... Ma taką wielką głowę, oczy takie, jak te wielkie śliwki w naszym ogrodzie, nos, jak ogórek, zęby takie długie, a usta takie szerokie, że mogłaby cię połknąć.

GUCIO *(z przestraszeniem)*. Naprawdę?...

BRONCIA. Nie wierz, Guciu, Julek kłamie, nie widział wcale cioci, bo jeszcze nie przyjechała, może dopiero za tydzień tu będzie.

GUCIO. A dla czego Julek mówi, że ciocia taka brzydka?

JULEK. Dla tego, że słyszałem od takich, którzy ją widzieli.

BRONCIA. Wstydz się Julku, okłamywać Gucia, on jeszcze mały, gotów uwierzyć w to, co mówisz.

GUCIO. Ja się boję takiej cioci!

JULEK. Nie będziesz jej kochał, prawda?

BRONCIA. Nie słuchaj, Guciu, co on mówi, kochaj ciocię bardzo.

JULEK. Nie kochaj, ciocia brzydka!

BRONCIA. Właśnie, że kochaj, ciocia ładna!

JULEK *(biorąc Gucia na stronę)*. Nie wierz Bronci, bo ona tak mówi, żeby mnie się sprzeciwiać. Ta nasza ciocia brzydka i taka zła, że wszyscy jej się boją. Zobaczysz, jak przyjedzie, to się przekonasz!

GUCIO *(z płaczem)*. Nie chcę takiej cioci!...

JULEK. Nie będziesz jej kochał?

GUCIO. Nie.

BRONCIA *(ciągnąc Gucia do siebie)*. Julku, puść go, bo on niepotrzebnie słucha tego, co mu pleciesz. Chodź Guciu do mnie.

JULEK. Nie chodź do Bronci, bo ona kocha tę brzydką ciocię.

BRONCIA. Kiedy ciocia nasza ładna; będziesz ją też kochał Guciu, prawda?

GUCIO. Nie! Ja się boję tej cioci!...

BRONCIA. No widzisz, Julku, coś zrobił... Teraz Gucio będzie uprzedzony do cioci, której nie widzieliśmy jeszcze w swem życiu.

JULEK. To bardzo dobrze, właśnie tego chciałem.

BRONCIA. Ale to jest bardzo brzydko z twej strony. Guciu, pamiętaj, jak nie będziesz kochał naszej cioci, to powiem mamie i będziesz ukarany.

GUCIO. Kiedy ciocia brzydka!

BRONCIA. Nieprawda, to Julek umyślnie tak mówił, ciocia ładna, przywiezie ci cukierków. Będziesz kochał ciocię?

GUCIO. Będę.

JULEK. Będziesz? Poczekaj, ciocia taka zła, jak cię wybije, to inaczej powiesz.

GUCIO *(płacze)*. Ciocia wybije... Nie Kocham cioci!...

BRONCIA. Wstydz się Julku, teraz Gucio płacze, pójdę, powiem mamie *(wybiega)*,

JULEK. Bądźże rozsądną, Bronciu, Gucio płakać przestanie! *(wybiega)*.

(d. c. u.)

RORATY.

— Mamo, Katarzyna powiedziała, że jutro pójdę na roraty, jabym też chciała pójść na te roraty — rzekła Anielka, przymilając się matce.

— A co to są roraty? — zapytał Michaś, stając obok siostry i opierając się o matki kolana.

— Jaki on nie mądry, nie wie co to są roraty! — rzekła Anielka, odsuwając nieco braciszka.

— A ty wiesz? — zapytała matka.

— Wiem, roraty są w kościele; Katarzyna powiedziała, że pójdzie na roraty do kościoła.

— I cóż więcej? — zapytała matka z uśmiechem.

— A nic; aha, prawda, Katarzyna jeszcze mówiła, że trzeba wstać bardzo rano, jak jeszcze ciemno, że ołtarz będzie bardzo ładnie oświetlony, ale, że trzeba wziąć z sobą świeczkę, bo w kościele ciemno i nie możnaby się modlić na książce — mówiła jednym tchem dziewczynka, zadowolona ze swoich wiadomości.

— Ale, co znaczy roraty? — zapytał Michaś powtórnie, z pewnem zniecierpliwieniem.

— Ach nudny jesteś, przecieżem ci już powiedziała! — ofuknęła Anielka.

— Nicsię nie powiedziała, ani ty, ani Michaś, ani ja nic a nic jeszcze nie rozumiemy, co to są roraty — rzekła matka.

— Przecież powiedziałam, że roraty są w kościele — upierała się Anielka.

— Ba, w kościele są ołtarze, ambona, chrzcielnica, ławki, ale rorat nie widziałem — mówił dalej Michaś.

— Ech...

I dziewczynka wrzuciła ramionami z lekceważeniem. Chciała nawet coś niegrzecznego braciszкови powiedzieć, ale matka spojrzała na nią, Anielka więc spuściła oczy a Michaś rzekł:

— To niech mamusia powie, co to są roraty, bo ta Anielka...

— Tylko się nie kłóćcie — uspakajała matka — a pilnie słuchajcie. Otóż roraty jest Msza św. odprawiana bardzo uroczyście, zwykle przededniem, podczas adwentu. Nazywa się zaś dla tego roratami, że podczas niej ksiądz śpiewa na cześć Najświętszej Maryi Panny pieśń, która się zaczyna od słów: „rorate celi” te jest „spuście rosę Niebios”, czyli dajcie nam łaskę, ażebyśmy się mogli godnie przygotować do nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Na ołtarzu, podczas nabożeństwa, oprócz zwykłych świec pali się pośrodku świeca wyższa od innych; oznacza ona Najświętszą Maryję Pannę, która, jako Matka Jezusa Chrystusa, jest ową rosą niebieską, co spływa na świat cały. Prócz tego Matka Boska będąc młodą dziewczynką i w całym swoim życiu dała przykład wszelkich cnót, była bowiem bardzo pobożna, pokorna i nadzwyczaj pracowita...

— I pewnie nie kłóciła się z nikim — przerwał Michaś, spoglądając na siostrę.

— I nie była uparta — odczęła się Anielka.

— Z pewnością, że nie — odrzekła matka. — I dla uproszenia jej, żebyście się pozbyli uporczywości a nabyli wielu cnót, pójdziemy wszyscy jutro na roraty.

To mówiąc, matka ucałowała dzieci i kazała im się położyć, bo na roraty wcześniej wstać trzeba.

Z. M.

SPEŁNIONE PRYZRZECZENIE.

(Ciąg dalszy).

II.

Następnego dnia, tąż samą drogą, co wczoraj, szedł znów dziadunio z wnuczkiem, ale jakaż zmiana na twarzach! Wczoraj obaj pogodni, uśmiechnięci, spokojni, dziś dziadunio poważny, surowy niemal; wnuczek smutny, zawstydzony. Nie mówili do siebie nic prawie, przecięci własnymi myślami. Minęli park, miejsce codziennych zabaw Witolda i skierowali swe kroki w brudną wąską uliczkę, zamieszkaną przeważnie przez ubogą ludność. Z parku dochodziły wesołe krzyki bawiącej się dziatwy. Witoldowi zdawało się nawet, że rozpoznaje głosy swych towarzyszy, wyteżył słuch:

— Mam go, mam — wołał jakiś chłopiec na całe gardło — złapałem go nareszcie!

— To Staś pewnie złapał Tadzia — pomyślał Witold — on doskonale biega, prawie wszystkich zawsze przegoni, gdy urządzają gonitwy, mój Boże, on, Witold, dziś sam nie pójdzie, a może już nigdy?

Westchnął i głowę spuścił ku ziemi, wtem, posławszy za sobą wołanie. „Wiciu, Wiciu! stój, zaczekaj!”

Obejrzał się, dziadunio przystanął także, i zobaczyli biegnącą ku nim dziewczynkę.

— Kto to taki — spytał dziadek.

— To Helenka biegnie do nas, jej matka stała przy bramie gdyśmy park mijali i przysyła ją widać po nas.

Helenka w tejże właśnie chwili nadbiegła. Zdyszana, zaczerwieniona, mówiła prędko:

— Idę z mamusią do parku, zobaczyliście pana z Wiciem, przybiegłam po niego. Mamusia z panem pogawędzi trochę, a my zabawimy się w krokieta, Stefek i Franio dziś go właśnie dostali za dobre stopnie, i już go pewnie rozstawili, wiesz, tam na murawie, niedaleko altanki. Spieszmy się więc, bo pewnie już na nas czekają.

Witold błagalnie spojrzał na dziadka, lecz ten zdawał się tego nie widzieć.

— Grzeczne i pilne dzieci słusznie, że się bawią — rzekł, gładząc zarumienione od szybkiego biegu twarzyczkę Helenki — idź więc dziecko, i kłaniaj się odemnie mamie, my z Witoldem idziemy dalej.

— Jakto, więc Wicio wcale dziś nie przyjdzie? — zapytała, niekontenta z odmowy Helenka.

— Nie, nie przyjdzie!

— To może później, jak pan powróci, po załatwieniu interesów — próbowała raz jeszcze przekonać dziadka, dziewczynka.

W serce Witolda wstąpiła nadzieja, Helenka może dziadunia uprosi. Ale dziadunio był niewzruszony... Nieprzyjdziemy wcale, ani dziś ani jutro — rzekł stanowczo; i chcąc dalszej prośby uniknąć, pierwszy posunął się na przód.

Ze spuszczoną głową, Witold poszedł za dziadkiem. W oczach zamigotały mu łzy. Taka dobra sposobność zabawy nie miała się, przepadała. Woda, oni tam tak długo czas spędzą, bo... krokieta. Ach!... tał kółka w parku... mię. Westchnął... spodziewał... razem na... ła do parku... nym i...

me
g

i przykrości cofnął się na korytarz, lecz dziadek wziął go za rękę i wprowadzając napowrót rzekł:

— Chodź i przypatrz się tej nędzy, którą ty uczyniłeś tem przykrzejszą, bo dołączyłeś do niej cierpienie. Owszem, patrz i obraz ten niech na wieki pozostanie zapisany w twem sercu i pamięci. Przed chwilą żałowałaś zabawy, miałaś ochotę powrócić do parku, harcować po trawnikach i uganiać się za przyjemnościami, obowiązek chciałeś pozostawić za sobą, to mniej przyjemne dotykać się nędzy i brudnego dziecka, wierzę w to, ale paniczu, to są skutki własnych postępów. Więc idź śmiało naprzód i naprawiaj zło wyrządzone.

Witold odwrócił głowę ze wstrętem, poraz pierwszy w życiu zetknął się z taką biedą i z takim brudem, ukrył twarz w dłoniach.

— Dziaduniu, ja nie mogę, idźmy stąd.

Dziadek brwi zmarszczył surowo.

— Uciekajmy, idźmy stąd — powtórzył drżąc — a to biedne dziecko niech ślepnie, co mnie to obchodzi, ono wstręt we mnie budzi! — O nic z tego, złe musisz sam naprawić, a gdy Witold nie ruszał się z miejsca, wziął go za rękę i podprowadził do jęczącego dziecka! A niełatwe to było zadanie ułagodzić i przejednać małego Abramka. Za każdym zbliżeniem się Witolda, coraz więcej usuwał się za komin, rękami obejmował głowę i tak coś niezrozumiale mówił, że Witold i dziadek tracili zupełnie nadzieję wydobyć go z tej kryjówki. Szczęściem nadeszli rodzice z całodzienną włóczęgą z dużemi workami kosi, któremi handlowali. Nędzne ich postacie wyglądały jak widma prawie, obszarpane, blade, strudzone. Rzucili worki w kącie i zdumieni spojrzeli na przy-

...nego starca z tym
...ianki? Niewie
...ujących posta
...śnieniem.

c. n.)

Kwadratu magicznego:

M o p s
O p a l
P a r a
Ś l a d

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma, przypominamy o odnowieniu opłaty na rok przyszły 1898

„WIECZORY RODZINNE,”

wychodząc będą pod temi samemi jak dotąd warunkami i w tym samym kierunku:

Skrzynka do listów.

Aż nadto jesteśmy przekonani kochana *Luszeko* o znacznych i pocziwych serduszkach naszych czytelniczek, i nie wątpimy, iż przysyłając nam własnoręczne robótki, nie nagrodę lecz wspomóżenie biednych dzieci miały na myśli. Nie mogliśmy jednak odmówić sobie przyjemności, by nie wyróżnić robótek, które starannem wykończeniem na to zasługują. Jaskółka wdzięczna za pamięć, na liścik oczekuje.

6 letniej *Nusi* nagrodę wysłaliśmy i bardzo prosimy, jeżeli uczy się już pisać, by chociaż ołówkiem napisała do Redakcyi.

Halnce i Adamowi L. z Łąpigóry dziękujemy za knęty z malowanekami dla dzieci ze szpitalika, któremi niezawodnie bawić się będą.

Dobre rozwiązania zadań przysłali: Sokół z nad Wisły, Winia z Łoszkowiec, Kukuleczka z Wiśniowego sadu, Jedyńcazka, Zielona choinka i Żubr leśny.

Jodetka i Polska dziewczeczka przysłały lamigłównki własnego układu, które pomieścimy o ile okażą się odpowiednie do druku.

Dziękuję ci *Jedyńcazko*, żeś się zdecydowała napisać do mnie. Przyznaję, że pismo twoje nie jest jeszcze wyrobione, ale go się wstydzic nie masz potrzeby, bo posiada dwie zalety: czytelne jest i czyste. Proszę cię tylko, nie poprzestając na jednym razie, obdarzaj mnie i nadal twemi liścikami.

Lamigłównkę *Polskiej dziewczeczki* złożyłam w redakcyi, bo sama o przyjęciu jej do druku decydować nie mogę. W arytmografie każda litera zastąpiona bywa tą samą liczbą, w każdym zadaniu litery mogą być zastępowane innemi liczbami.

Nie zapominałam o tobie *Kukuleczko z Wiśniowego sadu*, bo miłym twym liścikiem, głęboko w pamięć mi się wryłaś. Wakacje przeszły mi bardzo przyjemnie, bo dążąc śladami skrzydlatych mych imienniczek, fruwałam sobie z miejsca na miejsce, a wszędzie było mi dobrze i wesoło. Wyobraźnia twoja co do mojej osoby, nie zupełnie zgodna jest z rzeczywistością; wesołą jestem to zgadłaś, ale ani ładną ani blondynką. O ile jesteś czytelniczką *Wieczorów* zawiesz pisywać do mnie możesz.

Zabka z nad Rosi zapomniała dołączyć adresu, i na zagubione numera poczekać jeszcze musi. Otrzymałszy dokładny adres redakcyi wysła je natychmiast, zapewne zagiaęły w drodze, bo z redakcyi każdy numer wysłany jest akuratnie. Lamigłównkę możesz przysłać, jeżeli jest dobra, będzie pomieszczoną. List twój czytelnie i porządnie napisany, spodziewam się, że i nadal pisywać będziesz do życzliwej ci bardzo

Jaskółki.